ROZMAITOŚCI.

Dnia 7. Maja. № 19. Roku 1856.

GARŚĆ MONETY.

Proszę, co pan miał?

„*Demi tasse, p'tit verre, flûte.*“

Usłużny i strojny „garçon“ na to:

„*Six et trois, douze, dix-neuf*“ i daléj rachować, lecz grzeczny, może grzeczniejszy jak nie jeden dyplomata co także tak śliczne nosi faworyty i białą chustką szyję zawija, ani wspomina że oprócz dwóch filiżaneczek kawy z przywonią koniaku, przeżułem jeszcze siedmnaście gazet. Płacę tylko dziewięć pensów sterlinga. Powiecie państwo że to za wiele; przepraszam, chciejcie tylko na chwilkę przymróżyć w pamięci wasze kawiarnie i zważyć ile-m mu zużył aksamitnéj powłoczki w fauteuillu, ile-m mu starł srebra, marmuru, porcelany, bo chociaż-to człowiek brał się delikatnie, ale nie może nie oblizywać łyżeczki kiedy co do ust bierze, a usta ludzkie, jak wiadomo wszystko paskudzą; miałem do tego w około lustra, uzbierałem wzorków z na pięć komedyi, i za to ani grosza! Więc to nic, że naprzeciw mnie kredens mahoniowy? nie zużyłem go oczyma prawda, ale są w oczach uroki, i jeśli ja moim nie przypisuję uroków, był tam za ladą ktoś co je miał; z nich wrażenia uniosłem które także coś warte, tyle jak by kradzione. Przyznam się że „Dame de comptoir“ rzucała wzrokiem tak miłym, tak lubym; i chociaż-em przekonany w duszy że nie na osobę moją godziły, brałem je jak by moje własne do siebie, i za tę kradzież chociaż wiedział, garçon nic a nic nie porachował. O w kawiarni paryskiéj bardzo tanio! A wolno mi było i grać w domino za darmo, wolno i resztkę cukru zabrać do kieszeni, gdybym był chciał; tylko że moja zasada jest: kieszeń a sumienie niech będą czyste.

Rzucam na stół sztukę dziesięć frankową, garçon mi zdaje garść drobnych, dziękuje uprzejmie za małe półpenny w poczesném które mu dałem; nie chowa do mieszka ale wrzuca do urny, w spólną wszystkiéj służbie skarbonkę, nie wiem czy to idzie na chustki białe, czy na bilety do „Salle Valentin“ czyli na fundusz wdów i sierot, ale to widzę że mi podaje kapelusz, z grzecznością odprowadza do drzwi i kilka razy odchyłkiem serwety żegna z ukłonem uniżoności jak lorda. Prawdziwie, grzeczność mało kosztuje, a kupić za nią da się bardzo wiele.

Idę przejść się na pola Elizejskie, przechodzę „Place de la Concorde“ plac w oczach moich przepyszny, ale ilekroć byłem w Paryżu zawsze tu zastałem robotników, którzy go jeszcze pyszniejszym radzi by mieli. Główną aleę pól Elizejskich zaścieliły nowomodne powozy, tu i owdzie przybłąkał się także omnibus, gdzieś bryka furmańska, albo taczki praczkarskie. Siadam na ławkę przypatrzyć się pojazdom. Mój gust angielski nieco wybredny, zda mi się wiele dziwacznėm, liberya, herby, szory, konie; wszystko nie pachnie naszą arystokracyą, ale w całości ujdzie i dosyć mi się podoba. Nacieszyłem się chętką: obym i ja miał powóz i konie, potém dogodziłem chętce: pomowy o sąsiadach, i uczęstowałem się dwojgiem uczuć społeczeńskich: zazdrością i zawiścią, co jest bardzo przyjemnie kiedy człowiek nie na czczo.

Dla tego-to po obiedzie wybrałem się na spacer; troszkę za poźno, było już koło siódmėj, pora kiedy konie myślą panów rozwozić na obiady albo uczty ministeryalne. Powóz za powozem wraca łańcuchem nieprzerwanym, przed i za niemi świetni jeźdce, ale nie do darowania jak Francuzi źle siedzą na koniu; zgroza! naród wielki, potężny, waleczny nawet, a na koniu jak lalka! oh, to nie po naszemu; u nas Anglików już sam but czuje gdzie i jak stopa stoi. Zrobiło się wkrótce że pozostały same bryki i taczki w przejeździe do Neuilly albo do Boulogne. Mię to bawiło, potrząsałem drobną monetą w garści i patrzałem na bony i roje dzieci przy nich, co z tego będzie? przysłuchywałem się fanfarom wieczornym wdali; przecież to muzyka na prawdę wielowładna; na odgłos pobudki gonili żołnierze co im tchu stawało, a zastanawiało mię że takie malce między nimi. Poiłem się czystém powietrzem letniego wieczora, dziwno mi było gdzie się dymy podziewały, słowem podałem się cały roskoszom bogactwa, a z serdecznością którę ci tylko ocenić umieją, którzy się dzień cały napracowali.

Że człowiek zwierzę myślące, więc myślę trochę przy wieczornym spoczynku. Pola Elizejskie źródło myślom niewyczerpane. Z jednėj strony kramy, budy, muzyka, organki, tańce, przekupnie, komedyanci, jak w ulu pszczoły, w ruchu wszystko na milę; po drugiéj stronie jak do pory, rewie, przeglądy wojskowe, tłumy, wrzawy; środkiem i poprzek nieśmiertelny pęd wozów; a przytém są i ustronia jeszcze, i cieniste gaiki, i samotne zakątki, ławeczki, gdzie dalekim od świata człowiek myślący komponować mógłby sonety do Lesbii albo do Pyrhy, i nikt by mu nie przeszkodził, chociażby pisał listy do żony. Mogłem bez przeszkody podać się myślom i rozpamiętywać jak powstają, jak giną narody, jak szczęście przemija, i zastanawiać się nad tém co się dzieje w Europie; a szerokie pole pomysłom moim trzymałem w garści, w sztukach drobnėj monety. Przypatrzę im się wprzód nim wysypię.

Oto piękny pieniądz — dwufrank — Ludwik Filip na nim „Roi des Français 1835“; wygląda nie można lepiéj —

mówię o pieniądzu — czerwieni się, brzegi obciągnione, wytłok liczb i liter jasny i czysty. Wizerunek jak z oka wykroił, faworyty ustrzępione, łypek źrzenicy żywcem zdjęty; zdaje się przemawiać: „Lugdun dostał kaganiec, Jacques Lafitte zjadł się, praca mi nie straszna bo Thiers ministrem a po nim będzie Guizot, renty idą w górę, moi synowie mężni, a córki wzorem cnót.“ Dwufrank jest moneta zdawkowa i delicya kramarska z przydomkiem Sorokówka. Sorokówka to gość ubóstwiony po wszystkich sklepach, i ulubieniec bez mała taki jak ów sławny w mieszczaństwie talar: „la belle et bonne piéce de cent sous“ przezwany u niektórych „toczydło“ dla tego że od roku 1830 do 1848 był korbą, wątkiem i końcem francuskiéj czci. cnoty, łaski, odwagi i patryotyzmu. Ludwik Filip bił dwufranki na myryady, a i obrotny zięć jego w Belgii także; prawda że nie w takiéj ilości, bo ci Belgowie, że sami wyglądają jak opasłe barany o dużych łbach, biorą to za obrazę osoby swojéj, gdy na swéj monecie głowacza widzą. Krzywią się nawet na klasyczny talar pruski; u nich najmilszy jest trzebieniec holenderski, i łakomi są bardzo, nawet do upodlenia na grosiki nadreńskie.

Podsuwa mi się inny frank, nieco zużyty, spłowiał już, obrzeżek co nazywamy, wcale niewymyślny rzekłbym niedbały, ale co za powaga w nim! to nie orleańskiéj monety polor, ani powierzchne świecidełko z drugiéj republiki. To patrzy na Rzymiana raczéj, nie na Galla albo Francuza. Gdyby ta sztuka była obrązowana i zobrzczżona jak przystoi w karby, i żeby ją jeszcze trochę pogrynszpanić, sądziłbym, bylem się choć cokolwiek więcéj na numizmatyce rozumiał, że to głowa Trajana albo Konstantyna. Ale tak, wyrzec muszę że to czoło wysokie, to oko orle, ten nos grecki, usta przecudne, nieprzebłagane wargi i podbródek zaokrąglony, ten włos przyrzadki i laurowy wieniec około skroni, to wszystko mieniem Cesarza nowych czasów. Sam napis mówi: „Napoleon Empereur“ a na rzeszotku dodaje: „République Française 1806.“ Musiało to być, jeśli się nie mylę, po ceremonii w katedrze Notre Dame, gdzie był i Papież, a w roku 1806 musiało się we Francyi jeszcze wiele mitrężyć z Republiki.

Mam widzę jeszcze i półfrank jego, bo taki sam wizerunek, twarz tylko cokolwiek pełniejsza a wyraz wydatniejszy. Jaki téż napis? Pożegnaj się republiko! bo czytam: „Napoleon Empereur et Roi“ a na odwrocie „Empire Français 1812“, a cesarstwo ma takie uroki w oczach, że dame République przed niém musi płonąć i płonąć. Czytam, a zpod zapielonéj powłoki nieba wydymają mi się widoki dzieł jego, co jeśli swego czasu dziwiły, za sto lat i poźniéj zdumiewać będą, bo potęga i sława dalą rosną. Już dziś z miejsca gdzie stoję gdy patrzę, widzę ślady i znamiona potomnym wiekom ku zbudowaniu. Tam „Arc de l'Etoile“ za który słońce jego w grobowy całun się zawiło, a „Dame Lune“ zapomniała że słońce nazajutrz zmartwychwstaje. Owdzie

„Łuk tryumfalny", on go zaczął, a ktoś inny co go z rodziną wyklął, zakończył; pełen od góry do spodu zapisu zwycięztw, może wielu zmyślonych, ale kiedy im świat wierzył... Gdy posunę wzrokiem za ten „place de la Concorde" gdzie złote pilastry i żywe wody, lub za tę na Tuileryach chorągiew osiwiałą w rzezi i mordach, co nad te drzewa jakoby cyprysy wystaje i zawistnie krwawy „caroussel" osłania; tam na prawo i lewo koło Magdaleny marmurów, koło mostu co wiedzie do ciała prawodawczego, tam po tych rozległych wybrzeżach gdzie się chłopcy skupiają przed obrazkami wojen i zwycięstw, jakie ich ojcowie staczali, a oni się w nię bawią, tam przy Tumie inwalidów, gdzie odziomki weteranów jego na ławkach drzymią, i tam w błękitnéj dali gdzie wieże posępnéj „Conciergerie" na gmach sprawiedliwości patrzą i sędziom kodeks jego tłumaczą, tam wszędzie dziwa ramienia jego i mocy ducha.

Jakby na przekor, otóż i jeszcze frank jeden, ciemny, niepokaźny zda się z ołowiu, głowa także nie dopisała. Już to król Leopold nie udał się na frankach; ten wawrzyn niby się chwieje na czole, postawa nie śmiała, może to za krajem idzie, który od czasów Cezara zostawał w Europie zawsze jabłkiem niezgody. Nie wiem za co, chyba dla jaj na twardo, bo doskonale gotują, ale-to doskonale, że zdaniem mojém kury w Batawach muszą się nieść na twardo; więc téż mieszkańce od niepamiętnych czasów politycznie są obwołani, od Juliusza Cezara do Filipa d'Arteville, od Alby do Napoleona, że teraz kiedy się zdobyli na wolność, sami nie wiedzą jak siedzieć. Nie znałem jeszcze Belga, któryby przy całym konstytualizmie swoim gdzieś w jakichś nie siedział pętach, darowałbym mu to, ale przebaczyć nie mogę gdy mi o batalii pod Waterlloo prawi, że tam Anglicy oczewiście byli pobici, tylko że głowy twarde, nie poznali się na tém.

Holia! myślałem że tylko francuskie i belgijskie trzymam pieniądze. Wysunął się jeszcze pieniążek, napisano: „cinque soldi" co w Francyi tłumaczą „cinq sous" jeśli się nie mylę. Czyjaż-to głowa? Zaraz; jak napisano? „Dei gratia, Sardiniae Rex, Carlo Alberto" niema co mówić, grosz ładny. Ale coś daléj: „Cypri, Hierosolymae Rex." Król Cypru i Jerozolimy? A coż Abdul-Medżid na to? Zkądże to Sardynii przyszło tak się osławiać po Europie? Ale nim rzucę kamieniem, pomnę że i w Anglii są szklanne pałace. Nie dawno temu nasz Jerzy III pisał się publicznie królem Francyi; a tymczasem przelewał krew i skarby sypał, ażeby królowi francuskiemu dopomódz powrotu do Francyi.

Jeszcze moneta! ale teraz miedzi więcéj. Oto trzech królów naraz: Ludwik ośmnasty, król Francyi i Nawarry, twarz pełna, bardzo łagodna, zabytek dawnéj powagi. Karol dziesiąty, także król Francyi i Nawarry, szeląg wartości pięć penców szterlinga, twarz znękana, oko przygasłe, usta wązkie zdają się mówić, przed i po kolei losów ten sam bez odmiany. A jeszcze jeden zaplątał się srebrnik dawnego ćwieku jak nazywają „ancien ré-

gime“ sławne „demi-livre“ pięć penny naszych, z wizerunkiem Ludwika XV ulubieńca ludu. Ach ulubieńcze! o gdybyś spojźrzał na garść monety mojéj i zobaczyć mógł jak ta miłość ludu rozpławiła się w potokach krwi i łez gdy nadeszły „les gros sous“ wnuka po tobie! Rzeszotko tych trzech królewskich monet wszędzie z herbem Francyi i Nawarry, korona, srebrna tarcz i trzy lilie. Był-to herb Francyi. Numizmatycy ponieśli go już do historyi.

Przebieżmy dalsze miedziaki; stateczniejsza w nich jednostajność jak by zamiarem ich było ustatkować zamąt w srebrnikach. Ale co za statek! Na tym groszu z 1779 Ludwik XVI na kolcach piór królobójczych Encyklopedystów; na tym w 1792 a trzecim wolności, już nie król Francyi, ale „roi des Français“; a z tego grosza w rok poźniéj, już zazierają godła republikańskie „la foi, la loi, le roi“, i zaraz po nim idzie „le gros sou“ jednéj i niepodzielnéj republiki, ze spiżu i bronzu, z dzwonów i pomników, z kandelabrów i bram zamkowych, a za godło mu majestatu: babsko rozkudłane w czerwonym czepcu. Cierpliwości! ale jeszcze mały srebrniczek, cieniutki, kruchy, przylepił się do grosza grubego, snadź z nim w powinowactwie. Data na nim 1848, i postać kobiéty z grecka, niewiedziéć czy Madame Tallien, czy Lais, czy Aspasia, czy Mademoiselle Mars. Złowieszczby napis po nim: „liberté, égalité, fraternité“; a były takie napisy i po domach, ale zdrzazgała je kula grudniowa.

Zmrok zaczął padać, już i gaz rozświetlał ulice, ja jeszcze trzymam w mym ręku niemą monetę moją. O gdyby jaka nadziemska moc użyczyła im języka i mowy, na chwilkę tylko, czego by to się można nasłuchać! Nie byłoby ciekawszych pamiętników ani głębszych nauk. Dzieje szelężne! Wszak to dzieje grosza wdowiego, dzieje grosza w ręku Chrystusa.

DWIE DROGI.
POWIEŚĆ FANTASTYCZNA.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 16. 17. 18. Rozmaitości.)

V.
Mała izdebka na poddaszu.

Ludomir *(sam, otoczony stosami ksiąg. W ręku trzyma pieśni liryczne Kochanowskiego).*

Nie był poetą kto rzekł, iż poecie
Pusto i ciasno na tym Bożym świecie,
Kto z gorzkim żalem rzuca ludziom w oczy
Krew, co mu strugą pierś zbolałą broczy,
Łzę, co mu oko wypala przedwcześnie;
Nie był poetą na jawie ni we śnie,
Kto świętokradzko własną pieśń przeklina!
O pieśni złota! ozdoba jedyna
Stroméj, bezkwietnéj mego życia drogi!
Błogosławieństwo tyś wniosła w me progi;
Przy dźwięku twojéj struny nieskalanéj,
Promień rozjaśnia me ubogie ściany.
Ty w dni mych wątek utkany z tęsknoty,
Wsuwasz nieznacznie pasmo przędzy złotéj;
Tyś lepszą, czystszą méj duszy połową,
Ty łzę mą cichą wplatasz wdzięcznie w słowo,

A brzmiąc w méj piersi hymnem wiecznéj chwały,
Dźwięk z niéj ku Panu dobywasz nieśmiały.
Ty nieśmiertelne wijesz wieńce w darze,
Ze czcią, na święte przeszłości ołtarze;
W gruzach przyćmionych niepamięci nocą,
Życie rozbudzasz czarodziejską mocą,
Pusty smug życia w barwne ścielesz kwiaty,
Drzémiącéj myśli dajesz lot skrzydlaty.
Gdy ty przyświecasz, błogi znój i praca,
Bo blask twój niwa przyszłości uzłaca.
Dzięki ci pieśni! czarodziejko droga!
Przed tobą z serca blada pierzcha trwoga,
Ty płoszysz troskę ze stróżem aniołem,
By nie zawisła nad śpiewaka czołem;
A wkrąg mu niebo ćmiąc skrzydły sępiemi,
Swém go brzemieniem nie wgniotła do ziemi.

(z zapałem)

Ty gdy zabrzmisz w duszy młodéj,
Cudne piewcom sprawiasz gody,
I w nieznane światu wieńce
Stroisz twoje ulubieńce.
Oto widzę, we mgle spływa
Ku mnie, Jana postać żywa.
Lutnię ujął mistrz do ręki,
Słyszę pieśni cudne dźwięki,
Te, co dawnym brzmiały czasem
Nad szczęśliwym Czarnolasem!
Jasnoż płynie przez lazury
Niby łabędź białopióry,
Wszechmocnemu do stóp tronu
Hymn proroka z nad Syonu.
W ślady za nim płyną daléj,
Kołysane w modréj fali,
By żywiczne lasów wonie,
Jak szmer kłosów na zagonie,
Niby roje pszczół na łące,
Swojskiéj liry dźwięki drżące:
Takie jasne, uroczyste,
By krynicy zdroje czyste,
Co pod wierzby zielonemi
Trysły z łona matki ziemi.
Widzę lipę, która chroni
Od upału wieszcza skroni;
Kędy cichéj jego pracy
Przygwarzają wdzięcznie szpacy;
Gdzie powiewy z pola wieją
Wciąż swobodą i nadzieją.
Widzę piewcę jak się mieni,
Orłem buja po przestrzeni!
Z bark mu białe skrzydła rosną,
Gdy zanurzył wzrok radosno
W onę drogą ojców ziemię,
Kędy Piastów stare plemię
Założyło cnemi sprawy
Gniazdo cnoty, czci i sławy!
Przyćmił pomrok orła loty,
Widzę odblask łuny złotéj;
Brzmią kobziarze, grają bąki;
Wiatr na skrzydłach z kwietnéj łąki
Uroczyste dźwięki niesie:
To sobótka w Czarnolesie!

Nuć o wieszczu pieśń swobody,
Bo nie długie tobie gody.
Orzesz zagon twój w nadzieje,
Ziarno z wiarą dłoń twa sieje,
A śmierć w progu ostrzy kosę
Na twe dziécię złotowłose.

Już nadobnéj twéj Urszuli
Pierś ojcowska nie utuli;
Sen ją ujął nieprzespany,
Puste domu twego ściany.
Ale święć się wola Pana!
Ona czysta nieskalana,
Bladym cieniem, senną marą
Ponad ziemią przemkła szarą.
Dziś w aniołów czystych chórze
Twa Urszula śpiewa w górze;
I zawczasu lube dziécię
Z nieśmiertelnych kwiatów plecie
Na twe czoło wieniec chwały!
Daléj wieszczu posiwiały,
Złóż żywota twarde brzemię:
Obok ojców, w matkę ziemię,
Grób otwarty już w Zwoleniu!
Lecz ty będziesz jasny cieniu
Żył w twéj pieśni na wiek wieka,
Bo gorąca pierś człowieka
Twe podejmie słowo wieszcze,
I pieśń twoja zabrzmi jeszcze

Nad grobowca chłodną darną;
I twych plonów złote ziarno
Będzie długą lat koleją
Siać miłością i nadzieją
Nasze pola i ugory!

Daj mi Janie twemi tory
Wniknąć w serca braci ludzi;
Moje słowo niech rozbudzi
Świętą mocą twéj prostoty
Zapomniane ojców cnoty;
Niech rozżarzy płomień wiary,
I obyczaj wskrzesi stary,
Niechaj wskaże kędy droga
Do przyszłości i do Boga!

(Chwila milczenia, podczas któréj Stanisław wchodzi do izdebki.)

Stanisław *(na stronie patrząc na Ludomira).*

Jak zadumany, nie patrzy, nie słucha....
Może mu anioł pieśń szepcze do ucha.
Szanujmy owę uroczystą ciszę,
W któréj poeta senną myśl kołysze,
Zanim pod wpływem wyższéj niebios łaski
W cudne ją słowa przyodzieje blaski.

(Siada na boku.)

Ludomir *(budząc się z zadumania).*

Jakże cudowne ja widzenie miałem!

(spostrzega Stanisława; żywo:)

Kto tu?

Stanisław *(zbliżając się do Ludomira).*

Ja, człowiek krwią, kośćmi i ciałem,
Nie senna mara, ani duch z mogiły.
Witaj poeto!

Ludomir *(podając mu rękę).*

Witaj Stasiu miły!

Stanisław *(wskazując na stosy książek).*

Widzę nie trwonisz nadaremnie czasu.

Ludomir.

Czytałem właśnie Jana z Czarnolasu.
O! radbym zdobyć tę prostotę świętą,
Co gardząc próżnych błyskotek ponętą,
Dąży do celu poważnie a śmiało.

Stanisław.

Ciebieby z Janem porównać przystało,
Tyś jak on szczery; znać z serca nie głowy
Płynie twój zapał.

Ludomir.

Jam śpiewak ludowy,
A on był wieku złotego ozdobą!

Stanisław.

Jego jest przeszłość, a przyszłość przed tobą
Jak barwna tęczy rozwija się wstęga;
Na niéj ma ducha twojego potęga
Wyryć na wieki niezatarte ślady.
Masz wielkich mistrzów bogate przykłady;
Przed tobą pusta a szeroka niwa,
Którą wiatr z głuchym pogwizdem przepływa,
Zkąd ledwie pieśni wiedziony potrzebą,
Drobny skowronek podrywa lot w niebo.

Ludomir *(z zapałem).*

O tak! szerokie przede mną pole!
Daj mi o Panie oko sokole
I lot sokoli, i skrzydły daj,
Bym obiegł wkoło kraj mój rodzony,
I swojskiéj pieśni cudnemi tony
Uczcił on piękny, on Boży kraj!

O! bo uroczy brzeg nasz wiślany,
I te faliste pszenicy łany,
I cudny wonią kwiat naszych pól;
I zgodnie brzęczą pszczół naszych roje,
Gdy na mozolne nie bacząc znoje
Przynoszą plony do matki w ul.

Bo tak nadobnie w ciszy głębokiéj
Szumią po zwirze nasze potoki,
Tchnie woń żywiczna sosnowy bór!
I drobne ptastwo w dąbrowie ciemnéj
Wdzięcznie rozhowor wiedzie tajemny,
Jednocząc pieśni w poważny chór!

Lecz nad te pienia, nad poszmer fali,
Cudniéj, gdy zorza niebo zapali,
Bieży jęk dzwonu w porannéj mgle,
Złączon z modlitwą wiernego ludu,
Gdy wśród niedoli pracy i trudu,
Bogarodzicy pokłony śle!

O! miléj patrzéć jak pochylony
Poczciwy kmiotek orze zagony,
Jak szorstką ręką prowadzi pług;
Z jaką mu serce wiary potęgą
Pod tą wytartą bije siermięgą,
Jaką otuchą skrzepia go Bóg!

O błogo patrzéć, jak na téj ziemi
Boży się zasiew cudownie plemi,
We mgle niebieskich skąpany ros;
Jak na serc prostych bogatéj roli
Dojźrzewa prawdy ziarno powoli,
Nim w chleborodny wybuja kłos!

Stanisław.

Śpiewaku ludu, wielkie twe zadanie!
Może pieśń twoja zwiastunką się stanie
Nowego świata! Jan czcił owe męże
W kirys okryte, a zbrojne w oręże,
Co piersmi strzegąc granic w imię wiary
Toczyli harce z Turki i Tatary.

Jan uczcił pieśnią te przesławne chwile
Gdy August w blasku monarszym i w sile,
Boży posłannik, ojciec ludów tkliwy,
Sprzągł dwa narody, miłości ogniwy;
Gdy z berłem w dłoni, i w płaszczu szkarłatu,
Widział składane u stóp majestatu
Hołdy lenników, ich pyszne proporce,
Bijące czołem o ziemię Pomorce;
Widział Legaty i dostojne posły,
Jak w świat rozgłosy jego cześci niosły!
Te brzmienia w lutni zaplecione dźwięki
Drgnęły pod tknięciem wieszczéj Jana ręki
I wiatr je rozwiał szeroko po kraju,
Od skał Karpatu, od łoża Dunaju,
Do bursztynowych Baltyku wybrzeży;
Zaklął ją w głuchych puszczach Białowieży,
Kędy z żubrami gwarzą o nich tury,
I starych orłów korowód ponury!

Inne dziś dźwięki o śpiewaku ludu!
Niech brzmią w twéj pieśni! Błagaj z nieba cudu:
Niech Pan potęgą uzbroi twe słowo,
By błyskawicą przebiegło nad głową
Twych sennych braci. Niech twa pieśń im wskaże,
By w serc swych głębi stawiali ołtarze
Bogu a prawdzie! By czyści i bieli
Uszli bez skazy światowéj topieli,
Krwią niezmazani, ani mogił pleśnią,
Jedno niech z wiarą, modlitwą a pieśnią,
Z miłością w święte rozrodzoną czyny,
Wolni od pychy, ułudy i winy,
Z duchem skrzepionym wyższéj łaski mocą,
Walczą z serc własnych obłędem i nocą.

Śpiewaku ludu! niech dziś słowo twoje
Takie opiewa zwycięztwa i boje.

Ludomir.

O! tyś zrozumiał myśl mą, przyjacielu.
Dzięki ci! pieśń ma nie przebrzmi bez celu.
(Podaje rękę Stanisławowi.)

Stanisław.

Wszakże poeta w pierś gorącą chłonie
Myśl, którą złożył Bóg na czasów łonie,
Szczęśliw, gdy w porę pochwycić ją zdoła.
Wtedy niech pieśnią na ludzi zawoła,
A każdy drgnieniem serca mu odpowie,
Bo w każdéj piersi, w każdéj żyje głowie
Słowo śpiewaka, wyśnione, przeczute
Nim on je zaklął w czarodziejską nutę!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Czy istnieje kronika Mazowsza z XII wieku?

(Ob. Nr. 18. Rozmaitości.)

Przed kilku miesiącami wszystkie pisma czasowe Warszawskie umieściły wiadomość, jakoby w archiwum Królewieckiém znajdował się rękopism z XII wieku w polskim języku, obejmujący dzieje księstwa Mazowieckiego, przez Jarosława kanonika Płockiego słowiańskiemi głoskami pisany. Zródło téj wiadomości było wielce poważne, zwłaszcza iż poparte podaniem powtarzaném oddawna przez najuczeńszych naszych bibliografów i historyków. Nie wątpiono iż rzeczona kronika istniała, i może być kiedyś odkrytą; nic więc dziwnego, iż pogłoska o jéj znalezieniu w Kroleweu nie tylko znalazła wiarę, ale powtórzona w Warszawie, łatwo przeszla i do zagranicznych pism polskich. Skutkiem tak rozpowszechnionego ogłoszenia było, iż kilku archeologów z ciekawości, inni z żywego interesu jaki mieli do mniemanego a tak ciekawego dzieła, starali się dojść prawdy i w tym celu udali się do znanego w uczonym świecie profesora Dr. Voigta, który jest dyrektorem tajnego archiwum w Królewcu, z prośbą o udzielenie pewnych o tym rękopismie wiadomości. I oto właśnie jeden z tych panów otrzymał od niego następną odpowiedź, która zdaje nam się ostatecznie rzecz tę rozstrzyga.

List Dr. Voigta tak brzmi:

Królewiec 11 kwietnia 1856 r.

„Na list Wpana z dnia 4 b. m. mam zaszczyt oświadczyć, że myli się ten ktoby wierzył w istnienie kroniki Jarosława kanonika Płockiego. Kronika ta niewątpliwie nigdy nie istniała, podobnie jak kronika biskupa Chrystiana; jest to wymysł kłamliwy zakonnika Szymona Grunau. Nie pojmuję jak można było podobnéj wieści uwierzyć. Już w przeszłym roku znosiłem się w tym przedmiocie z cesarsko-rosyjskim radcą stanu i członkiem akademii, p Kunik w Petersburgu, i temu nigdy na myśl nie przyszło gdziekolwiek donosić, że ta kronika w tutejszém znajduje się archiwum. Gdybym ją był odszukał, sam nią byłbym się zajął naukowo. Podobnież kroniki biskupa Chrystiana (któréj nigdy nie było) daremnie dwa razy do Włoch się udawszy szukałem, i nie tylko nie odszukałem jéj, ale nawet najmniejszego śladu nie odkryłem, na którym opierając się, byłbym mógł dowieść że dawniéj istniała.

Przyjmij Wpan i t. d.

Józef Voigt.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*